

665EW

DOMINIKA BEDNARCZYK
(ur. 1972) jest aktorką,
absolwentką krakowskiej
PWST. Od 1996 r. pracuje
w Teatrze im. Juliusza
Słowackiego w Krakowie.



JEJ IMIĘ

DOMINIKA BEDNARCZYK, AKTORKA:

W pewnym momencie Konrad mówi: „Ja kocham cały naród”.
To zdanie nie mogło mi przejść przez usta. Dojrzywałam do niego trzy miesiące.
Tak wielki był we mnie poziom gniewu – konsekwencji bezradności.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Konrad odebrał Ci głos?

DOMINIKA BEDNARCZYK: Na trzeciej – już z publicznością – próbie generalnej „Dziadów” podest, na którym wyjeżdżamy z zapadni, przejechał wyznaczoną linię uszkadzając łożę po lewej stronie widowni. Generalna została przerwana na 45 minut. I ta nagła przerwa odebrała mi mobilizację ciała, głosu, umysłu – wszystko się nagle ulotniło.

Zmęczenie było ogromne, więc wysiłek, jaki włożyłam w ponowną koncentrację, zaowocował stopniowym zaniemieniem głosu. W efekcie czego musiałam wziąć zastrzyki sterydowe. Oraz poddać się masażowi strun, polegającym na wyśpiewaniu odpowiednich dźwięków.

Kiedy już straciłaś głos?

Nie. Dotąd nie sprawdzałam aż tak głęboko swoich granic emocjonalno-psychicznych i fizycznych. Może poza chrztem aktorskim, którym był monodram „Jordan” w reżyserii Mai Kleczewskiej. Grałam postać Shirley – dzieciobójczyni. Miałam 27 lat. Nie byłam jeszcze mamą, dlatego pozwalałam sobie na spore eksperymenty na własnej psychice.

Z Mają pojechałyśmy do więzienia w Ruszcy w Nowej Hucie. Poznałam

tam m.in. wykształconą babkę, z klasą. Rozmawiałyśmy o tym, jak niewiele potrzeba, by przekroczyć próg tego miejsca. Chciałam usłyszeć język osadzonych, poznać żargon i zrozumieć, co znaczy być najniżej w więziennej hierarchii, zarezerwowanej właśnie dla dzieciobójczyń.

A przed każdym spektaklem – w sumie ze sto razy – oglądałam „Przełamując fale” Larsa von Triera. Droga Bess jest w pewnym sensie moją drogą w „Jordan”. Chyba udało mi się stworzyć postać ważną, choć kosztem ciała i emocji.

Nie chroniłaś siebie?

Sięgnęłam za głęboko i ostatnie dni przed premierą były jak przestrzeń bez tlenu. Dziś już wiem, co robić w momencie, kiedy odbywam intymną podróż kreując postać – bolesną, wiwisekcyjną, bezlitosną wobec siebie samej, a także rzeczywistości, która mnie otacza. To zdarzyło się też przy pracy nad Konradem. Cała sztuka polega na tym, by z teatru wrócić do domu i pójść z dwójką moich psiaków w totalną ulewę na spacer ulicą Starowolską, gdzie są tak cholerne dziury, że natychmiast masz mokry tyłek. To stawia do pionu. Nie popadam już w stany depresyjno-lękowe, towarzyszące mi dwadzieścia lat temu.

I gdyby nie praca nad postacią Shirley, nie byłoby dzisiaj Konrada.

Kiedy nabrałaś tej odporności?

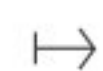
Szesnaście lat temu, z chwilą narodzin Kai. Ona w naturalny sposób wy-

mogła moją stuprocentową obecność po zakończonym spektaklu. Więcej – jej istnienie spowodowało, że przestało mi się chcieć pracować. Miałam 33 lata i uznałam, że nagrałam się już fantastycznych postaci – Kławdia Chauchat w „Czarodziejskiej górze”, Agłaja w „Idiocie”, Jenny w „Operze za trzy grosze” i dość. Choć w ciąży deklarowałam gotowość powrotu na scenę, jak tylko córeczka skończy dwa miesiące. A tu się okazuje, że spełniam się właśnie w macierzyństwie.

Z trwogą czytałam wywiady z koleżankami, w których mówiły euforycznie, że rozkwitły jako aktorki dopiero gdy zostały matkami. Myślałam: może miłość do dziecka jest tak totalna, że mi zabrała drugą miłość do teatru? To poczucie towarzyszyło mi mniej więcej do trzeciego roku życia Kai, czyli do momentu jej pójścia do przedszkola. I właśnie wtedy pojawiła się Iwona Kempa z propozycją roli w „Rozmowach poufnych” Bergmana. Postać Anny rzuciła mi pomost powrotny do zawodu. Ale już w innej kondycji.

Jakiej?

Okazało się, że mogę być i mamą, i aktorką, że umiem godzić te dwie role. Iwona była świetnie przygotowana do prób, wiedziała, że musimy zmieścić się w kilku godzinach. Spotykaliśmy się od wtorku do piątku i okazało się, że z młodą matką w dwa miesiące można zrobić ważny spektakl.



→ „Rozmowy poufne” to kameralny rodzinny dramat. A „Dziady” mają narodowy rozmach, w tle jest wielka historia. Powstały legendarne inscenizacje – Kazimierza Dejmka i Konrada Swinarskiego. Jest też „Lawa” Konwickiego, w którym Wielką Improwizację mówi Gustaw Holoubek.

Podziwiam te inscenizacje i film, namiętnie i z drzeniem serca patrzyłam na Konrada w wykonaniu Gustawa Holoubka i Jerzego Trela. I przeszedł mnie dreszcz przerażenia, kiedy Majka Kleczewska, kompletując obsadę, powiedziała: „Chciałabym, by Konrad był kobietą”.

Czym byłaś przerażona?

Jak ogarnąć Konrada? Czy faktycznie może być kobietą? Nie miałam wtedy pojęcia. A potem zaczęła się praca, myślenie, szukanie rozwiązań. Od całego zespołu dostałam wsparcie. To takie istotne – pewnie byłoby mi trudno, gdybym była aktorem między 30. a 50. rokiem życia, który dowiaduje się na próbie, że koleżanka gra Konrada. Zresztą koleżanki i koledzy mówili otwarcie, że mają wątpliwości, czy to dobry pomysł. Czyli myśleli to samo, co ja.

Do czasu, kiedy na pierwszej próbie przeczytałam Improwizację z żeńskimi końcówkami. I usłyszałam, jak ogromny tkwi w tym potencjał. Wiedziałam, że będę potrzebować zaplecza intelektualnego, studiowałam książki Marii Janion. Coraz bardziej pojmowałam jej pesymizm egzystencjalny. I wlałam go w postać Konrada – przekonanie, że warto ten staczający się ze szczytu głąz każdego ranka na nowo pchać w górę. Nie poddawać się – bierność równa się duchowej śmierci. Jakoś to do mnie dotarło. Im głębiej wnikałam w Konrada, tym bardziej poszerzały się kręgi dotykanej rzeczywistości, a w nich pojawiały się inne postaci, w tym Marian Turski.

Dlaczego były więźni Auschwitz?

W trakcie pracy nad postacią Konrada wkroczyły do naszych domów obrazy z granicy polsko-białoruskiej – patrzymy na nie bezradnie już czwarty miesiąc. Uznałam, że ta dramatyczna sytuacja powinna odbić się w zdaniu: „Jeśli w milion ludzi krzyczących »ratunku!« / Nie patrzysz jak w zawile zrównanie rachunku”... Turski na uroczystościach

z okazji 75. rocznicy wyzwolenia obozu apelował: „Nie bądźcie obojętni”. Mówił, że Auschwitz nie spadło z nieba, tylko dreptało małymi kroczkami, aż w końcu nieuchronnie nadeszło.

Kto jeszcze Cię inspirował?

Piotr Szczęsny. W pozostawionym po sobie liście uzasadniał swój tragiczny wybór. W punkcie jedenastym napisał, że protestuje przeciwko wrogiemu stosunkowi władzy do imigrantów, przeciw dyskryminacji grup mniejszościowych – kobiet, osób homoseksualnych, innych z LGBT, muzułmanów. Wydrukowałam ten list Piotra i powiesiłam w garderobie. Czytam go przed każdym spektaklem.

A Martin Luther King?

Dla mnie jest objawieniem. To, w jaki sposób czerpał siły z Boga do bycia prorokiem narodu, gdzie bliźni stają się wartością nadrzędną. Przed każdym spektaklem piszę na ręce: „I Have a Dream”.

W oryginalnej scenie więziennej „Dziadów” mężczyźni dyskutują o losie Polski. W wersji Kleczewskiej są to uwięzione kobiety – jedne za kraty trafiły prosto z ulicznego protestu, inne to „kryminalistki”, broniące się przed przemocowym partnerem. Śpiewają: „z Bogiem i choćby mimo Boga!”.

Gdy przez Polskę przetaczała się fala protestów, chora na covid odbywałam w domu kwarantannę. I z córką przyklepione byłyśmy do ekranu telewizora. Wirtualnie wmieszałyśmy się w tłum, wyrażając swój gniew, ból, żal.

Jestem wdzięczna losowi, że nigdy nie postawił mnie w sytuacji, w której zmuszona byłabym podjąć decyzję o aborcji. Lecz nie ośmieliłabym się mówić kobiecie, jakich powinna dokonywać wyborów. I nie chcę, by system polityczny czy religijny miał decydować o tym, czy będę musiała rodzić niepełnosprawne dziecko.

Budując postać Konrada, miałam w oczach obrazy z 40-dniowych protestów matek i opiekunów ludzi niepełnosprawnych – upokarzanych, wyrzuconych z Sejmu. Za dwa lata ten sam Sejm decyduje, że kobieta musi rodzić niepełnosprawne dziecko. A miesiąc temu pani Iza w 22. tygodniu ciąży umarła w szpitalu w Pszczynie – lekarze nie ratowali jej życia, czekali na obumarcie dziecka.

Maria Janion w 2016 r. w liście na Kongres Kultury napisała, że mesjanizm, zwłaszcza jego wersja państwowo-klerykalna, prowadzi Polskę do zguby.

Jestem osobą wierzącą, wychowaną w Przystani – wspólnocie krakowskich dominikanów. Dane mi było poznać mądrych i charyzmatycznych duchownych. Ogromnie ważną w moim życiu osobą był i jest nieżyjący ojciec Stanisław Musiał. Jezuita o wielkim umyśle, równie wielkim sercu i nieskończonej empatii. Chrześcijanin z prawdziwego zdarzenia.

A Twoje miejsce w dzisiejszej wspólnocie katolickiej?

Czuje się katolikiem bezpaństwowcem – nie widzę swojego miejsca w Kościele, instytucji, która występuje przeciwko dobru człowieka. To ogromny obszar mojej rozpaczy – ja potrzebuję wspólnoty.

Pierwsza scena „Dziadów” zaczyna się od zwołania przez Guślarza obrzędu, na który przybywa cała Polska. Postaci mijają się zasklepione w swoich światach i racjach.

W pewnym momencie Konrad mówi: „Ja kocham cały naród!”. Długo to zdanie nie chciało mi przejść przez usta. Dojrzywałam do tego trzy miesiące – taki był we mnie poziom wściekłości, która jest straszną konsekwencją bezradności. Jednocześnie myślałam: przecież zaczynam mieć w sobie taką samą agresję, jaka zionie od narodowców.

Wszyscy możemy się zobaczyć w tej zbiorowej scenie?

Karmimy się konfliktem, on napędza działanie. Ale narodowa wyporność osiągnęła apogeum, eskalująca nienawiść zatruwa nas wszystkich. Za humanitarną postawę Macieja Stuhra wobec ludzi tkwiących na granicy polsko-białoruskiej ktoś na Rakowicach pisze na rodzinnym grobie Stuhrow: „morderca Polaków”. Na grobie?! Nie ma świętości.

Twój Konrad to wie?

Chciałabym Konradowi pozwolić wznieść się ponad podziały, jakkolwiek by to teraz banalnie i absurdalnie brzmiało. Kiedy wypowiadam słowa: „Ja kocham cały naród”, muszę – po prostu muszę – tym zdaniem objąć wszystkich. I jednocześnie pomyśleć, że już dziś wszyscy jesteśmy zacządzeni, tkwimy w pułapce.

Barbara Nowak, kurator małopolska, odradza szkolne wyjścia na „Dziady”. W jej ocenie „haniebne jest używanie dzieła wieszczka dla celów politycznej walki współczesnej opozycji antyrządowej z polską racją stanu”. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego, choć nie widział spektaklu, twierdzi, że „niepokoją go działania, które są kontrowersyjne w sztuce i przekraczają granice akceptowalnej kontrowersji”.

Sama sobie stawiam nieustannie pytanie: jakie jest remedium na podziały? I czy ono w ogóle istnieje? Co się musi stać, by skończyć karnawał nienawiści? Konrad w spektaklu Kleczewskiej rozpaczliwie szuka na te kwestie odpowiedzi. Z tego też powodu wchodzi w rzeczywistość swojego snu – ma nadzieję, że w nim znajdzie rozwiązanie, że odpowiedź kryje się w podświadomości. A podświadomość proponuje jedno słowo: „miłość”. Świat, w którym ludzie staną się prawdziwą wspólnotą. Utopia?

Utopia. Jak ten sen Martina Luthera Kinga.

I brak narzędzi do jej realizacji. Wiesz, ja przed premierą... A nie, nie będę mówić, to zbyt prywatne.

Proszę.

Poszłam na Wawel i przy grobowcu Mickiewicza powiedziałam całą Improwizację. Drugi raz poszłam tam po premierze, by mu podziękować.

Za co?

Za obecność. I za to, że Konrad mógł zmienić płęć.

Jak to jest?

Nie mam makijażu, gram w swoich spodniach. Wyglądam zwyczajnie.

Świadomie zrezygnowałam z podkreślania kobiecości. Jako Konrad poruszam się o kulach – Janina Ochojska jest inspiracją, bo Konrad jest też hołdem dla niej.

Dla kogo jeszcze?

Dla tych wszystkich, którzy działają, dla aktywistów organizujących pomoc humanitarną, pamiętających, że najważniejsze jest człowieczeństwo, a nie polityczne przekonania. 11 listopada razem z moją przyjaciółką Małgosią Zawadzką poszliśmy pod halę krakowskiego Sokoła witać

Budując postać Konrada, miałam w oczach obrazy z protestów matek i opiekunów ludzi niepełnosprawnych

– upokarzanych,
wyrzuconych z Sejmu. Za dwa
lata ten sam Sejm zadecyduje,
że kobieta musi rodzić
niepełnosprawne dziecko.

prezesa Kaczyńskiego – mając w sercu Izę z Pszczyny i te wszystkie sprawy, o których teraz rozmawiamy. Był wieczór, mało ludzi, na przodzie stały dwie dziewczyny ze Strajku Kobiet, z megafonami. Emanowała z nich niebywała odwaga, spokój i siła. Powtarzały: „Ani jednej więcej” i „Nikt nie zasługuje na śmierć w lesie”. Z przejściem patrzyłam na te dwie osoby niosące na swoich barkach ważne sprawy i dające zarys do działania. A za nimi stoją takie dziewczyny, jak moja mądra i nieustraszona córka.

Wierzysz w to?

Kobiety są niesamowite – mimo bezdennej rozpacz, niebotycznego lęku matek o córki, babć o wnuczki – o ich zdrowie, o to, że są im ograniczane podstawowe prawa – nie popadają w bezczynność. Fala kobiecego buntu jest nie do zatrzymania – politycy i kościelni hierarchowie na pewno czują trwogę. Rewelacyjnym pomysłem jest to, że Kleczewska scenę więzienną uczyniła przestrzenią kobiet. Co przedstawienie walczyć ze sobą, by się nie rozryść, kiedy Dorota Godzic śpiewa: „Nim uwierzę, że nam sprzyja / Jezus Maryja”. Tak, chcę wierzyć, że wkrótce kobiety zmienią porządek rzeczywistości.

A kobiety ważne w Twoim życiu?

Maria Puchała – kobieta, która nas poznała. Twoja polonistka z podstawówki, a moja ciotka i matka chrzestna. Jak ważna była w moim życiu, doceniłam po jej przedwczesnej śmierci. Maja zdążyła mnie zobaczyć w spektaklu dyplomowym „Płatonow wiśniowy i oliwkowy”, reżyserowanym przez Krystiana Lupe. Wcześniej byłam za głupia, za

młoda, za krnąbrna i dawałam jej w tyłek – miała mnie słusznie dość. A ja miałam dość jej – spędzałam z nią przecież wszystkie wakacje. Ja – jedynaczka, ona – stara panna. Działyśmy na siebie jak płachta na byka. A potem uświadomiłam sobie, że to Maja przecież zaprowadziła mnie do opery i teatru. To ona zaszczyliła we mnie miłość do kina. To dzięki niej jako dziesięciolatka zobaczyłam Marlona Brando z Deanem Martinem i Vivien Leigh z Clarkiem Gable’em, albo Elizabeth Taylor z Richardem Burtonem.

Maja bardzo wspierała moje aktorskie zapędy, które u innych dorosłych wywoływały same praktyczne pytania: „Gdzie będziesz grać? Jak się znajdziesz w środowisku? Za co będziesz żyć?”. Jej to nie obchodziło.

Mnie mówiła, że boi się o Ciebie, że aktorstwo to ciężki zawód dla kobiety.

Nigdy mi tego powiedziała. I wiedziałam, że jest dumna ze scenicznego debiutu, kiedy w 1992 r. wygrałam casting na rolę szekspirowskiej Julii.

Kto Cię teraz wspomagał?

Kiedy pracuję nad rolą, znikam na dwa miesiące – nie odbieram telefonów, nie odpisuję na SMS-y, nie spotykam się. Tak też się działo w przypadku Konrada. Przyjaciółki dają mi czułość. Zresztą to słowo pada w Improwizacji.

A Maja Kleczewska?

Nie pracowałyśmy od premiery „Noży w kurach” w 2002 r. Tamto spotkanie podzieliło nas i rozdzieliło na długo. Od tego czasu jako aktorka przeszłam jednak intensywny kurs pokory... Wcześniej, kiedy nie spodobała mi się reżyserska propozycja, radykalnie odmawiałam. Dziś, nawet gdy nie zgadzam się z wizją reżysera, wykonuję zadanie – staram się, próbuję.

Na nowo pokochałam Maję Kleczewską teraz, przy „Dziadach”. Dała mi wolność. Była wymagająca, ale jednocześnie czuła, hojna i mądra. Wielka klasa w pracy.

Wierzysz w sen Konrada, w to, że świat może ocalić miłość?

Wiem, że dobro nie pokona zła, ale zawsze warto o nie walczyć. I za tym stoi miłość. Tu się otwiera skrawek nieba.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA